

N^r 5.

CZWARTEK.

DNIA 1 SIERPNIA 1839.

Przedpłata na 12 półarkuszy wynosi we Francji fr. 5, za granicą złotych pols. 12.



Pszonka wychodzi raz na miesiąc, to jest: 1^o każdego miesiąca.

Zgłaszać się do wydawcy (franco) pod adresem *M^r Pszonka, Polonais, au café du Miroir, à Strasbourg (Bas-Rhin).*

PSZONKA.

Sejtnik Szlachecki.

SCENA KONSPIRACYJNA.

Otoż i nasz sędzia pędzi broniakami! Zuch! niedał się wyprzedzić hrabiemu, co tuż za nim dociera angliczowaną czwórka. O, szlachta na kiel bierze. Ba! i propinator z X. odstąpił swojej kwatki, i rusza z starym majorem, i wikary przywozi akademika, i jeszcze ktoś, i jeszcze ktoś! Słowni! niema co mówić.

Tak recytował pan marszałek stojąc z kilkoma osobami przy oknie.

—Widzisz panie Wacławie! (tu obrócił się do mężczyzny, co podpierałszy zamyśloną czoło, siedział w kącie pokoju); widzisz, aby ino iskrę podmuchać, to wszystko aż wre, i starzy i młodzi. Przekonajże się, że nasza szlachta nie taka, aby z niéj już nic niemożna zrobić.

—Daj boże! westchnął Wacław, i wraz z marszałkiem postąpił ku drzwiom na przyjęcie gości.

—Witajcie! witajcie! zacny sędzio!

—A co? niedotrzymaliśmy słowa? założę się, że jeszcze niejedliście obiadu, kazałem też pędzić co koń wyskoczy.

—A widzisz marszałku, że taki żoncy się wykręcił, choć mię obmawiacie, że chodzę w spodnicy?

—Victoria! pokonałeś niewiastę, dobry początek; ale spodziewam się, że nie niewspomniałeś o celu?...

—Tak! coś! niewiele! z daleka... o ojczyźnie, o powinnościach obywatela....

—Cożś najlepszego zrobił! rozgłosi się...

ODDZIAŁ I.

Darmo! darmo! szukałem pozoru, kręciłem, podchwyciła za słówko, musiałem się przyznać rad nierad.

—*Hic mulier* nieda widzę wywieść się w pole! zawołał marszałek; a teraz prezentuję panom mego przyjaciela Wacława, świeżo przybywa.... a to, moi sąsiedzi: hrabia X, sędzia Z, major A, nasz pocziwy wikary i t. d. i t. d. i t. d.

Po zwykłych ukłonach i koleżeńskich ściśnieniach ręki otoczono Wacława do koła i obsypano zapytaniem:

—Pan dawno z Francji?

—Co tam nasi porabiają?

—Słyszę wielka tam bieda!

—Ja znowu słyszałem, że opływają we wszystko.

—Żenią się?

—Pojedynkują?

—Umierają?

—A klóć się aż strach!

—Oj zgody! zgody potrzeba!

—Książę Adam co też porabia? najszczytniejszą ofiarą rewolucyjną, z takiego majątku! mój boże! jedna Sieniawa, i cokolwiek kapitału....

—Jak mówią, tylko jednego lokaja trzyma!!!

—A też demokracja? te niby chłopcy?!

—Manifest mi się podobał!.... równość panie hrabio, równość, to grunt.

Hrabia pokręcił nosem na tę uwagę propinatora, i jakby zagadując lub unikając delikatnej materii: —Ależ nie traćmy czasu, zawołał. Przybyliśmy tu w celu porozumienia się...

—A raczej przygotowania żywiołów do przyszłej rewolucji, rzucił akademik.

—Rewolucji? dalekie widoki panie filozofie; nam myśleć teraz o zapobieżeniu srogościom rządu; któż zostanie jak wszystkich na Sybir wywiozą?... Sądziłbym, radziłbym, czyby niemożna na drodze protekcyjnej... I tak: mam wuja adjutantem przy cesarzu, kto wie? jego wdanie się...

—Co tam protekcja?! kościoły nam zamykają, i gwałt czynią religii, tu trzeba wojny religijnej, potrzeba fanatyzmu jak w Hiszpanii, ofuknie wikary.

—Powoli, powoli! Na drodze prawnej, rozumowanej, snadziej nam przyjść do ładu, przerwie adwokat. Wśród należy

wykazać argumentnie, że car nieprawnie dzierży koronę, że uzurpator...

— O tém i wróble już wiedzą, krzyknie major. Wojny nam trzeba, i jeszcze wojny! Dajcie mi kilkaset naszej dziarskiej młodzieży, coto do kielicha i korda, a zobaczycie....

— Widzieliśmy już w ostatniem powstaniu, jak pierwszy zrejterował do Galicyi, szepnie akademik Wacławowi.

— Wszystko to dobrze, lecz jako pół-środki... zaczął Wacław.

— Za pozwoleniem, niech tylko skończę, wołał jeden.

— Słówko! wołał drugi.

— Pół słówka, trzeci.

— Pan Wacław! pan Wacław niech mówi! I ta partya przekrzywała tamtych.

— Mojem zdaniem, Wacław zacznie, wszystko, coście tu przytoczyli zaci obywatele, nieprowadzi do celu; owszem, każdy z tych środków z osobna opóźniałby tylko naszą sprawę. Niemasz więc innego sposobu, jak wywołać siłę w narodzie, świeżą, niezużyta; siłę, któraby do gruntu wstrząsnęła dzisiejszy porządek, i zapewniła długie narodowi życie, a tą jest...

— Waza na stole! zawołał lokaj pompatycznie otwierając podwoje.

— Tak, tą siłą jest waza na stole, ona nas posili, powie żartobliwie sędzia. Żołądek po przejechaniu się krzyczy o swoje prawa.

— Po południu swobodnięd będziemy radzić, nic nam nieprzeszkodzi, rzeknie gospodarz. A teraz służę panom, zupa wystygnie.

Podczas obiadu, jak zwykle, rozmowa toczyła się z różnej beczki, to o zdrowiu żon i dzieci, to o nowinkach, to o romansach francuzkich, to o balu ostatnim, to czasem, lecz bardzo ostrożnie słówko, o polityce. Lecz pod koniec, gdy przybywały butelki coraz z starszym węgryzmem, zapał patriotyczny szedł jak termometr do góry, zwłaszcza, gdy ktoś natrącił najdrażliwszą rozmowę, dla czego ostatnia rewolucya nieudała się.

Owi konspiratorowie, przed godziną tacy potulni, tacy miśtyczni, teraz wrzeszczeli na całe gardło, żeby pan sprawnik mógł usłyszeć w najbliższem powiatowem miasteczku. Jeden Wacław i akademik w ciągłej pogadance z kobietami, które uczuciem i rozsądkiem o sto procent przewyższały swoich mężów, zachowali umysł trzeźwy, choć jednemu przycinano, że student, a drugiemu, że za granicą zapomnieli obyczaju testamentem po Sasach zapisanego szlachcie.

Po kilkogodzinnej biesiadzie, wszyscy zebrał się w jednym salonie, wspólnie z damami. Pito czarną kawę. Panny grały i śpiewały przy fortepianie. Wacław tylko stał w kącie, niecierpliw się, i przeklinał, że wpadł między nich, jak Piłat w *Credo*; nie stracił jednak nadziei, że po zaspokojeniu potrzeb zmysłowych, po wyszumieniu się, szlachta na seryo weźmie się do rzeczy. Wszakże go marszałek zapewnił o niepospolitym duchu i usposobieniu do czynności konspiracyjnych. W tej myśli więc zbliżył się do gospodarza, odciągnął na bok, i rzekł: Czas drogi, a my nic niepostanowili; znasz położenie moje, na jednem miejscu długo bawić mi niepodobna; wreszcie, mam instrukcje, które chciałbym wam przedłożyć...

— Bądź spokojny! Jeszcze chwilę pobatamucim, a potem dam hasło: na lulki! i pójdą jak za prorokiem. Tak się i stało, lecz nie marszałek, ale żona jego, postrzegłszy niespokojność gości wzdychających za tureckim dymkiem, pierwsza dała hasło: — Panowie po kawie pewnie tęsknicie za lulką; nieróbcie sobie ceremonii, bardzo proszę, bardzo proszę!....

I w mgnieniu oka wynieśli się z salonu, jak wymiotł, i w mgnieniu oka, każdy jak Jowisz siedział w swoim obłoku. Zaraz i pogadanka ożywna dykteryjkami, anegdotami, swobodna, niekiedy dowcipna, częściej rozpustna, najczęściej płaska oblatywała całe koło. Nicibyś nieschwycił, bo to było istne *de omnibus rebus et nonnullis aliis*. Między innemi, sędzia dowodził, że każdy ekonom musi być złodziejem. Na to Wacław: — Prawda, są to ludzie zdemoralizowani, lecz wina szlachty, która ich źle wynagradza i traktuje; podług mnie, dobry ekonom mógłby najdzielniej wpływać...

— Co ekonom? wpływać? nasz wrodzony wróg? huknęło kilkanaście głosów.

Znowu propinator rozpowiadał jak sztucznych sposobów używa do propagandy gorzałczanej...

— Ach nieszczęsny trunek! pochwyli Wacław, sądząc, że rozmowę skieruje do swego celu. Zdaje się, że wyrabiając tę truciznę, sami zabijamy siłę, która nas kiedyś ma wskresić...

— Kto tu ma co przeciw gorzałce?! krzyknęto. Chłopy zdechł, gdyby niepił, a my pommieralibyśmy z głodu. gdyby nie ten jedyny sposób spieniężenia produktów! Gorzałka, to jedyny rewolucyjny środek!

Darmo! argumenta szumiały jak wezbrana woda, nie niepomogły wszystkie zastawki Wacława. Zagłuszony głosem kilku stentorów wiejskich, poraniony praktycznemi sofizmami, zrejterował do swojego kąta; lecz marszałek postrzegłszy tego rycerza smutnej postaci wystąpił z powagą: — Mości panowie! zapominamy naszej misji; do rzeczy, do rzeczy! Wacławie przełoż nam projekt, podaj sposoby, a dla ojczyzny wszystko!

— Sposoby najłatwiejsze, projekt najprostsz, mówił wezwany. Potrzeba tylko w jedną myśl się zjednoczyć, a tą myślą jest wiara silna w odrodzenie Polski, przez powołanie do życia politycznego i nadania własności gruntowej...

— Jasne panie! trzy zające w kapuście!... zawołał kucharz wpadając do pokoju.

— Aż trzy!!! krzyknęto zgromadzenie konspiratorów, pędząc jeden przez drugiego.

— Charty! gończe! nabijać strzelby! dalej! żywo! hurra! I jakby na odgłos dzwonu powstania-wysypali się na ogród. Wacław z akademikiem sami zostali; z założonemi rękoma, z uśmiechem szyderczym patrzył za nimi, i w boleści zawołał: Zróbże co z nimi, kiedy lada fraszka odrywa ich od najświętszego przedsięwzięcia!

Po godzinnem uganianiu myśliwi wrócili, niosąc trzy koty, spore marczaki. Tu dopiero wszczęły się opowiadania o zawołanych łowach, sławnych psiarniach, nieporównanych strzelcach... Lecz marszałek, niby marszałek sejmiku, postrzegłszy Wacława nudzącego się na śmierć, krzyknął: Do porządku panowie! Przeklęta żyłka myśliwska nie dała nam dosłuchać tak pięknej materji. Mów, mów Wacławie, słuchamy!

Wacław ze skrzywioną twarzą, cienkim głosem znowu zaczął swoją propagandę, lecz z ciągiem przedmiotu ożywił się, chwalił patriotyzm, wykazując oraz jego niedostateczność; bo niedość mieć byt, ale potrzeba uczynić go trwałym na drodze postępu. Zrzeczenie się praw czyli nadużyć waszych, dodał w końcu, na tę część ludności jęczącej dotąd pod obuchem podwójnej tyranii! Jedno słowo puszczone wzdłuż i szerz Polski: jesteście wolni, daruję wam...

— Herbata! oznajmił lokaj, wnosząc ogromną tacę ze szklanekami.

— Herbata! powtórzono chórem i rzucono się do szklanek. Gdy kolój obeszła, a każdy popijał, Wacław postanowił ostatniego próbować sposobu.

— Pojmuję, mówił, wasze stosunki, wasze nałogi, bodaj nie brak charakteru, bronią wam działać na konspiracyjnej drodze. Dopomóżcie przynajmniej drugim, co niemając waszych dostatków, poświęć pracę, życie poświęć dla dobrej sprawy. Róbcie składki, na broń, na książki, na więźniów ubogich, na przesładowanych... jednego z pomiędzy siebie obierzcie kasyerem.... Panowie! zróbcie dzisiaj początek?...

— O z całą duszą!

— Ja dam co mogę.

— I ja, choć jak krytyczne czasy!

— Choć jaka trudna sprzedaż.

— A jakie wyderkafy!

— Rewolucya nas zrujnowała!

— Mnie żona śmiertelnie chora!

— Mnie proces zniszczył....

Tymczasem hrabia, siedząc przy zielonym stoliku, znalazł pod ręką karty, i ciągnął sobie pasjansa; a po pasjansie, od niechęcenia, rzucał to w prawo to w lewo. Major, co obok słuchał gorliwie propagandy, także niechęć posunął jakoś rękę do kieszeni i.... wyjął rubla. Na ołtarz ojczyzny? Nie!

— As! szepnął. Czy idzie?...

— Idzie... Wygrałem!...

Major gniewny, że niechęć rubelka puścił:

— Król! Dwa ruble!

— Wygrałem.

Obecni poczuwszy brzęk monety, krzyknęli:

—Brawo! hrabia banczek zakłada!...
 —Kto co stawia?
 —Ja banko!
 —Banko?
 —Wygrałem!
 —Przegrałem!!!

I konspiratorowie, jak mrówki do cukru, zbiegli się w jedną kupkę. Po krótkich abugach, kiedy chciwość wznieciła zpał, każdy z tych zrujnowanych przez rewolucję, przez procesa, przez chorobę żony, przez ciężkie czasy, ni zład ni zowad, siedział nad kupką złota lub srebra...

—Spodziewam się, rzeknie Wacław, że teraz nikt się już niewymówi od ofiary... Panie marszałku nacieraj!...

I marszałek pierwszy rzucił na tackę parę rubli...

—O, z wygraną niedam ani szelaga, woła sędzia, choć to przesąd karciarski... jednakże!...

—Ja przegrany tęp bardziej nie mogę... Banko król!

—Po skończonej grze ofiaruję cały zysk, lecz teraz... kenz-lewa.

—Niemogę! niemogę! Pół banku do asa!

Akademik, skromne, niezsute dziecko, żałośnie poglądał, stojąc opodal, na tę scenę, a przybliżywszy się do Wacława: —Oto kilka dukatów danych mi przez dziadka na zbytkowe potrzeby, przyjmij ten grosz wdowi...

W całą odpowiedź emisariusz ścisnął go za rękę, wskazał tackę, i młodzieniec rzucił złoto...

—Gruba stawka, zawołał bankier, na jakąż kartę poniterujesz? Akademik wzgardliwie spojrzał, i rzekł obracając się do Wacława: —Tu nic nie zrobisz; ale ja znam proste, nieskalane dusze; chodźmy ku nim, a perły twoje niepadną przed bydlętą.

SCENA Z DYPLMATYCZNO-SENTYMENTALNEJ PODRÓŻY.

Gdzie wiele przygotowań tam nic z dialogu.

KRASIŃSKI.

Przypominacie sobie zapewne ową przejazdówkę arcyksięcia Ferdynanda d'Este, odbytą w maju roku przeszłego dla widzenia się z Mikołajem w Warszawie. Jedni utrzymują, że to była wizyta czysto dyplmatyczna, drudzy, że nieczysto, inni na koniec, że sentymentalna; albowiem arcyksiążę, jak kochanek, co zwiędła miejsca pierwszych wyznań miłości, chciał na stare swe lata zwiedzić pola Raszyna, Grochowa, Góry, te żywe świadki dzieł jego rycerskich za młodo.

Ale co nam do tego, za jakimi uczuciami arcyksiążęce gonilo serce. Spójrzmy lepiej na gościeniec prowadzący ze Lwowa do Żółtkwi; jaka kurzawa! jaki ruch niezwyčajny! czy gdzie odpust w pobliżu? czy rabin z Berdyczowa przejeżdża? czy... nieśmiem wymówić... może rewolucya?!

Odpust! rabin! rewolucya! Nic z tego wszystkiego.

Przecież coś to być musi. Tych kilkaset chłopów, mieszczań i Żydów, jedni konno, drudzy pieszo, uszykowanych po obu stronach gościenca: wszyscy w świątecznych sukniach. Ino, co znaczy ta błądź na twarzach chłopków, ta niemoc, że się tak chwieją na nogach? czy już wypili kilka beczek piwa i gorzałki? czy może pogrzeb jakiego obywatela, co był dobroczyńcą całej okolicy?

O! tacy tu nieumierają, bo ich niema; a wreszcie to coś nosi pozór urzędowości: widzę cesarskie czarne z żółtym czapki, widzę kije pilnujące porządku. O! to jakieś święto austriacko-narodowe. Słucham, coś gwarzą:

—Oj kumie! już trzy dni jak nas tu spędzili, i od trzech dni nic nie miałem w gębie, prócz kawałka suchego chleba, com go zabrał żonie i dzieciom.

—Moje robaki także gdzieś schną z głodu; ciężki przednowek!

—Dla jednego szwaba morzyć nas głodem!

—A bodaj niedoczekał!...

—Still chamy! zagrzmiął głos beamtera zbrojnego kijem, kiedy ja krzyknem *fifat*, to i wy *fifat*, bo *fünf und zwanzig* będzie w robocie.

Wtém przez rozstawione czaty dolatuje wieść: —*Er kommt, er kommt!*

Tu następuje wielkie zamieszanie porządku robionego kijmi. Tuman kurzawy wzbija się pod obłoki: to pędzi jazda, złożona z chłopów głodnych na wygłodniałych koniach; za nią sadzą na rumakach: krejshauptman, krejskomisary, kilku oficerów z załogi i kilku obywateli obwodu, a dopiero pokazują się czerwone kurtki pocztynionów i powozy arcyksiążęce.

—*Fifat!* ruft *fifat!*

—Wiwat! krzyknęło żałośliwie chłopstwo, i w tęp okrzyki dolatywały inne: Piwa!... Bieda!...

—Arcyksiążęca Mość w przejeździe nieklaniał się nawet, ale spluwał, i oczy wycierał, i kichał...

W gmachu krejsamtowym czeka wspaniale zastawny stół na przyjęcie dostojnego gościa. Lecz... dostojny gość nieraczy nawet wysiadać z powozu; —przeprzegają konie.

Krejshauptman i dwaj zaci obywatele, którychto kosztem przygotowano tę ucztę, klękają, zaklinają, że się wyborne potrawy w niwecz obróć! może kawy?... kieliszek likieru?... porcję befsztuku?... Serce arcyksięcia a raczej apetyt głuchy na wszystko. Pojechał!!

Arcyksiążę nalykał się kurzu!

Myślicie, że na tęp koniec? O nie! za powrotem arcyksięcia nieszczęśliwy krejshauptman i nieszczęśliwi przywiązani do rządu dwaj obywatele chcieli powetować pierwszego niepowodzenia tryumfem, co miał wszystko naprawić.

Jakżeż tu powitać, aby niebyło kurzu, ani chłopów, ani wrzaskliwego wiwat? Przyjazd miał nastąpić wieczorem.

Wieczorem?... szczytna myśl! Transparent, brama tryumfalna; arcyksiążę wraca z pola swoich tryumfów, i teraz może z Mikołajem odnieść tryumf w dyplomacyi.

Wszyscy z oklaskami przyjęli ten pomysł natchniony prawie od boga. Brama piorunem stanęła. A jakie godła! jakie cyfry, symbole! jaki ogromny czarny orzeł!

Gońce, rozstawieni gościńcem od Warszawy, co chwila donoszą o zbliżaniu się dostojnej osoby.

Cała urzędnicza rzesza z dumą pogląda na bramę tryumfalną, która wkrótce jej tryumf zapewni... a lzy arcyksięciu wyciśnie wdzięczności.

Słońce już zachodzi; przyjazny mrok otula ziemię.

Oto ostatni przybiega goniec.

—Zapalać lampy! arcyksiążę niedaleko.

Za kilka chwil gorzał cały transparent.

Wszystko wlepia oczy w to dzieło mistrzowskie malarstwa i poezyi; wymierzono lornety, perspektywy, okulary.

O *Herr Gott!* Gdzież cyfra arcyksiążęca?!

Znikła! a natomiast pokazały się dwa wiersze:

OD OSTATNIEJ REJTERADY

NIEBYŁO WIĘKSZEJ PARADY!

Jak kiedy oddział woltżerów przypuszcza rozpaczny szturm na mur twierdzy, tak cały ten tłum beamterów i beamterek, na odgłos zbliżającej się trąbki pocztowej, rzucił się na to dzieło swęj wierności.

Nigdy żenujący zacy za dawnych czasów nierozzerwali tak prędko szkoły żydowskiej, jak ta brama runęła.

Arcyksiążę poomacku wjechał; rozpaczające, żałośnie wiat powitało go.

A krejshauptman, załamując ręce, mówił do owych dwóch obywateli: *Verfluchte Polaken!* to pewnie ich figiel.

POKŁONY

KOMITETU OGÓŁU LONDYŃSKIEGO

WYBITE PRZED OBLICZNOŚCIĄ DUKA SUSSEX.

KROTOCHWILA W JEDNÉJ SCENIE.

(Sala audyencyonalna). PREZES KOMITETU I JEDEN Z CZŁONKÓW (oba en grand gala).

PREZES KOMITETU (rzucając obłąkane spojrzenia). Jestem ja, czy nie jestem?...

CZŁONEK. O i dobrze jesteś prezesie. Moja figurka jak atom znikła przy twoim brzuchu.

PREZES. Ale gdzie jestem? nie senze to? uszczypnij mię....

CZŁONEK (*uszczypiąc*). A co?...

PREZES. Lepiej... bo jeszcze niewiem...

CZŁONEK. A teraz? spodziewam się przecie, że przestałeś być skeptikiem...

PREZES. Dziękuję ci... O nieba! co ja widzę! przedpokój królewski! a my?... a ja?... reprezentanci narodu, tłumacze uczuć, ludzie polityki! aj! aj!...

CZŁONEK. Wielki krok dyplomatyczny!...

PREZES. Z księciem krwi mówić! ho!.... to coś delikatniejszego jak tłuc Moskali pod Stoczką.

CZŁONEK. Tu słówko decyduje o losie Polski.

PREZES. Śmiałybym się, żeby mi też słów zabrakło! Czemu też ten mój adjutant nieprzybywa; jeżeliby się zaciął, onby podpowiedział... Ale nieprawdaż, że nie miał politykę wykluczyć tego koleżkę, co głowę nosi tylko od parady?

CZŁONEK. Mądrześ prezesie postąpił, widać, że do dyplomacyi nabierasz z każdym dniem gustu.

PREZES. Rzemiosło orężne niewdzięczne... Ale gdzie mój adjutant?

CZŁONEK. Wyplatałby nam figla. Piękna deputacja bez kompletu!

PREZES. Adjutant! o boże! mój adjutant! mój...

MISTRZ CEREMONII (*oznajmując*). Duk Sussex!

PREZES. Kolego! podeprzyj, bo się zwalę jak długi... Du.... Du!....

CZŁONEK. Zaczniemy od pokłonu.

(*Kłaniają się, bijąc czołem o ziemię*).

PREZES. Jasnie oświecony... najjaśniejszy... naj... Duku... Du... nie... Sussezie... W imieniu ogółu, my prezes i członkowie komi... komiczni... komitetowi... składamy czołobitność....

CZŁONEK. Pokłon prezesie.

(*Oba padają na twarz*).

SUSSEX. Niefatygujcie się zacy staruszkę, twoja korpulencya może cię wymówić od tak dobitnego tłumaczenia uczuć.

PREZES. Ach! jasnie oświecony Du... Duku. Wdzięczność na zawsze...

SUSSEX. Miłe mi to oświadczenie. Niewygasnie ono nigdy z mojej pamięci, która jest skarbnicą wielu wspomnień dotyczących się Polski. W roku 1792, oglądając wojsko pruskie w Coblenz, nasłuchiłem się niemało, jak tam szachrowali o Polskę, ale dalebóg, nie mogłem nie poradzić. Poźniej w Rzymie, grałem w wiska z kilku Polakami. Ale interes, jaki sprawa Polski wzbudziła we mnie, powiększył się najbardziej, gdy się poznał z księciem Czartoryskim. To mi to człowiek!.... Co za łeb dyplomatyczny!... Co za układność w traktowaniu wielkich kwestyj politycznych!... Na honor! Niemógł car Alexander lepszego sobie dobrać ministra.... Dobrze do nich przystaje wasze polskie przysłowie: *Wart Pac paćca a paćca Paca*. Szanujcież go!... Wszystkie niepodległe dusze... Czy rozumiecie?... dusze książąt i królów zachwycają się wielkimi ofiary, jakie ten mąż, pełen dostojeństw i pan ogromnych włości, poniósł dla ojczyzny... Szanujcie go, powtarzam, i uważajcie w nim przyszły zarodek Polski. Inaczej powiem, żeście *głupim narodem*.

PREZES I CZŁONEK (*razem*). Ach! szanujemy!

(*Biją pokłony*).

SUSSEX. Ze wszystkich manifestacyj waszych postrzegam, że chcielibyście wrócić do kraju. Piękna chęć... bo i nam umniejszycie kosztu... Lecz abyście wrócili, potrzeba się zjednoczyć.

PREZES (*biorąc członka za rękę*). Już zaczynamy!

SUSSEX. Dobrze! Potem wara myśleć o polityce. Siedzieć w kacie, i czekać. Z księciem Adamem nie drzeć kotów. Na Mikołaja nie pisać. Emisaryszów nie posyłać. (*Pokłony*). Wszakże wasze powstanie nie było rewolucją?...

PREZES I CZŁONEK (*z pokłonem*). Jak się Jego-książęć-mości podoba. Zdaje się, że nie było.

SUSSEX. Wszakżeście myśleli tylko o obronie swobód konstytucyjnych Polski kongresowej?...

PREZES (*z pokłonem*). Tak niby...

SUSSEX (*groźnie*). Co? niby?....

PREZES, (*na stronie*). Aj! aj!.... Du!.... kolego!.... ratuj!... Tak!... Jego-książęca-mość ma słuszność.... tylko o kongresowej...

SUSSEX. Owe zaś sny głów szalonych o wywróceniu tronów, o reformie społecznej?!

PREZES I CZŁONEK (*bijąc pokłony*). A pfe! uchowaj boże!.... nam się nigdy nie podobnego nieśni...

SUSSEX. Wasza powolność wzbudza we mnie macierzyńskie uczucia. Żal mi was... Na wygnaniu niemożecie i podjeść dobrze. Zostańcie dziś u mnie na obiad!... Będzie i hrabia Zamojski, i hrabia Krasiński... tylko proszę was zachować się przyzwoicie...

PREZES I CZŁONEK. Wiwat Duk!... wiwat!...

(*Zacierają ręce i skaczą. Adjutant prezesa wchodzi*).

SUSSEX. A to co za jeden?...

PREZES. To komplet Mości Duku!...

SUSSEX. No, jeszcze jedno, a będzie kwita... (*Zbliża się i kiwa palcem pod nos komitetowemu*) będzie to dla was nauczka... Ty stary... i wy młodzi... pilnujcie swoich braci, aby niewtykali nosa do spraw buntowników angielskich, bo *God-dam!*... (*odchodzi grożąc*).

PREZES I CZŁONEK (*dobijając resztę pokłonów*). Znajdziesz nas do śmierci powolnych.

PREZES. Zwycięstwo!...

CZŁONEK. Oto nam się udało!...

ADJUTANT. Ależ ta mina groźna księcia?... nierozumiem...

CZŁONEK. Ha!... *tarde venientibus ossa*. Sprawa nasza tryumf odniosła. Ale prezesie! otrzyj sobie kolana.

PREZES. Niech tak zostanie... bądźto miła dyplomatyczna pamiątka... A tobie, cóżto za guz na czoło wyskoczył?

CZŁONEK. To dyplomatyczna wypukłość.

PREZES. I jam nie źle wybijał. Ale bo też książę przesłicznie mówił. Żałuj adjutancie!

ADJUTANT. Cóż przecie?...

CZŁONEK. } Rzucił wielkie pomysły do naszego zbawienia.

PREZES. } Zaprosił nas na obiad.

ADJUTANT. Na obiad? Ach! mam też za trzech apetyt.

PREZES I CZŁONEK. Figa!... Niebites pokłonów, niemasz prawa do tak wielkiego zaszczytu.

ADJUTANT. Jaki?... wszakżeż i mnie pod nos palcem nakiwał...

PREZES. To mało. Patrz na moje kolana!...

CZŁONEK. Patrz na moje czoło!...

ADJUTANT. Ależ ja należę do kompletu!... samiście mi kazali zastąpić...

PREZES. Miłczałbyś lepiej!... jam tylko twojej głowy potrzebował... (*kłapiąc się po brzuchu*). Brzucha mi pan bóg przecie nie odmówił.

DO MINISTRA PEWNEGO.

Pod tym tytułem wydrukował Karol MANEBIT VICTORIA Sienkiewicz w SKARBCE HISTORII POLSKIEJ, wiersz do J. O. Adama księcia Czartoryskiego napisany, z powodu wejścia jego do służby moskiewskiej, w stopniu ministra; a że p. Karol wiersz ten troszkę sfałszował, umieszczamy go więc w piśmie naszym podług oryginału spisane własną ręką autora, który się w naszych pszonkoskich archiwach znajduje, a za którego autentyczność ręczymy.

Ministrze! nim tój nieczci piorun cię uderzy,
Którym padł Radziejowski zdrajca, podkancelerzy;
Nim cię czas, kryciem zbrodni długim przesilony,
Całkowicie ukaże zdrajcę z pod zasłony;
Nim was kupujących krajem i braćmi, handlarze!
Wypędzeniem z kościoła ojczyzny lud skarże;
Póty jeszcze.... i mojej sekret wódz niechęci;
Póty milczę, od klucza czyś jest od pieczęci.
Nadto, żebyś tём trudniej mógł zostać trafiony,

Niepowiem, skąd ród wieszysz, z Litwy czy z Korony?...
 Bo ten cel pióra mego, żebyś, nim kto inny
 Sądzić cię zacznie, sam się osądził, żeś winny.
 Z imienia, i z krwi znanęj w Rzeczypospolitej,
 Bogactwy i tytuły przodków znakomite,
 Żadną i w żadnym względzie nieciśnion potrzebą,
 Mając to, co dodać tylko może ludziom niebo,
 Pytam: jaki zawistny wróg twego sumienia,
 Pana z panów, bogacza, skłonił do służenia?
 Komuż jeszcze?... i przeciw komu?... mówić zgroza!
 Oto hordzie, dziś ledwie wolnej od powroza,
 Oto przeciw ojczyźnie, która cię zaklina,
 Żebyś z obcego sługi powrócił jęj syna,
 Żebyś braci niekałał, niesmucił przyjaciół,
 Lub żebyś zdrać nieprzeżył, jeżeli się zaciął.

JAXA MARCINKOWSKI.

PODRÓŻ NA SYBIR.

Byłoto w początkach roku 1836, w Krakowie, na przyjacielskiej schadzce, przy pogadance pełnej patryotycznego zapалу. Jeden z tego koła młodzieży siedział milczący i zamyślony, jakby się do nich nie liczył. — Gustawie! wołano, czy cię nudzą nasze rozmowy?... Odpowiedziało tylko oko młodzieńca, ale takiem spojrzeniem, że każdy się zarumienił, jakby sobie wyrzucił to zapytanie. — Dajcie mu pokój! ozwie się jeden, to poeta! buja gdzieś po siódmym niebie, kiedy my chodzimy po ziemi. — Tak! poeta! odpowie jakby zbudzony Gustaw, jam poeta, mam sen, przecucie, widzę.... — Co widzisz?... — Śmiejecie się z mego napadu.... widzę siebie.... długie męki.... daleką podróż.... podgrobnie życie... Humorystyczna scena!... — Jesteś w zapale, improwizuj, wołali koledzy... I on, zasłoniwszy oczy rękoma, wypowiedział wiersze, które przytaczamy poniżej.

W boskiej chwili wieszczego natchnienia odgadł swoją przyszłość. Lat trzy niewyszło, a *Gazeta-Rządowa-Warszawska* tak umieściła wyrok: *Na pozbawienie wszelkich praw stanu, odesłanie do ciężkich robót w Syberyi bez zakreślenia czasu, i na konfiskatę majątku: GUSTAW EHRENBURG, jako założyciel tajnego demokratycznego towarzystwa, i gorliwy zasad onego rozszerzyciel.*

Siadł zwojszczyk na przodzie, koń dzwonkiem zadzwonił,
 Kibitka leciała, jakby wiatr ją gonił,
 I Moskwy szorokie miały ulice.
 Kacapy z brodami, rozdziawiały gęby,
 «To Polak buntowszczyk!» mruć zeli przez zęby,
 I na mnie zgłupiałe zwracali żrenice.

I ledwie czasami dziewica z uboczy
 To na mnie nieśmiało podnosiła oczy,
 To znowu je na dół spuszczała w milczeniu.
 I ledwie czasami żałośnie a dumnie
 Młodzieniec przechodząc zwracał wzrok swój ku mnie,
 A wiele słów było w tém jednym spojrzeniu.

Jam siedział rozparty w kibitce wspaniale,
 Kapelusza na bakier wsunąłem niedbale,
 I lulkę-kochankę u mych ust zawiesiłem;
 Rozsiadłem się lepij, miejsce zajął szersze,
 I takie zacząłem komponować wiersze,
 Lecz wprzódym kapelusza jeszcze głębiej wmieliem.

Oj jeszcze nie bieda! choć zima tak skrzepla;
 Kajdany na nogach?!... to tylko dla ciepła,
 A ta straż z żołnierzy?... to przeciw złodziejom.
 Wszak człowiek powinien czoło nawałnicy
 Odważnie nadstawić, a na szubienicy
 Dopiero pod stryczkiem, plunąć w pysk nadziejom.

Oj jeszcze nie bieda! póki lulkę palę,
 I póki mi tylko pozwolą Moskale
 Ugaszać cierpienia w gęstych kłębów tłumie.
 Wszak tylko mil tysiąc, droga niedaleka!
 Więc jedźmy! więc jedźmy!... bo co mnie tam czeka,
 Tego już mój język powiedzieć nieumie.

Oj jeszcze nie bieda! kraj pełen uroku,
 Tam Włochy są z lodu, tam noc trwa półroku,
 Tam śliczne dziewice, jak klocki dębowe;
 Dusze gorejące zawsze niebezpieczne;
 Więc lepsze nam lody i śniegi odwieczne,
 I lepsze pałace podziemne, grobowe.

Oj jeszcze nie bieda! kraina to śliczna;
 Tam kwitnie szczególniejsza sztuka dramatyczna,
 Tam co dzień tragedje, morderstwa i męki.
 Muzyką sybirską miły brzęk łańcucha,
 I razy batogów przyjemne dla ucha,
 I hurra Kirgizów, i Polaków jęki.

Jam siedział rozparty w kibitce wspaniale,
 Kapelusza na bakier wsunąłem niedbale,
 I lulkę-kochankę u mych ust zawiesiłem;
 Rozsiadłem się lepij, miejsce zajął szersze,
 A kiedy skończyłem komponować wiersze,
 Jam na łeb kapelusza jeszcze głębiej wmieliem.

NOTYJENKI

KRAJOWE I EMIGRACYJNE.

W księgarni polskiej złożoną została na sprzedaż piękna litografia, wyobrażająca w wizerunkach sławnych ludzi całą przeszłość Polski. Druga, pod względem układu i wykonania pierwszej podobna jest już w robocie, ale przedstawiać będzie samych sławnych mężów z czasów ostatniego powstania, I tak, w górze, obok Chłopickiego będą Lubecki i Czartoryski; dalej Skrzynecki i Krukowiecki; poniżej, na kolumnach wspierających wierzchnie ozdoby paradyżują wojownicy sławni: Giełguć, Jankowski, Chrzanowski i t. d. Uspodu umieścił artysta w esach-floresach modlitwę następującą: «Boże ojcze! który stworzyłeś człowieka wolnym na obraz i podobieństwo twoje. Boże synu! który poniosłeś śmierć męczeńską na krzyżu za wolność rodu ludzkiego. Boże duchu! który w serce człowieka wlałeś miłość wolności i braterstwa. Święta trójco jedyny boże! zmiłuj się nad cierpiącą ludzkością, i uwolnij ją od takich wojowników i mędrców.»

— Są ludzie, którzy nazywają Lelewela *jenijalnym odkopywaczem* narodowej przeszłości. A jeżeli się pokaże, że tenże sam Lelewel rozmyślnie zagrzebuje prawdę, jakże go nazwać? Czy *jenijalnym grabarzem* historii polskiej?... Na stronnicy zaś 65 POLSKI ODRADZAJĄCej się czytamy: «Razu jednego rząd ujrzał wchodzącego lekkim krokiem oficera, który oświadczył, że także przystępuje do rewolucji, ale zawsze będzie pamiętał na przysięgę wykonaną Mikołajowi: było pułkownik, którego nazwisko kto wie, niech dopisze.» A dla czegoż Lelewel-historyk nie dopisał, choć wiedział?... Dziwny wzgląd!... Pośpieszamy wyręczyć szanownego odkopywacza-grabarza, i piszemy, że pułkownikiem *questionis* był: JAN SKRZYNECKI.

— *Młoda-Polska* donosi, że wielu z tych, którzy się zapisali na pierścień dla Stuarta, żeby mu tym sposobem za rozprawy

o przywrócenie Polski *tylko* kongresowej podziękować, dziś się z listy składkowej wymazuje. Dobrze robia! Postrzedz się w biedzie, choćby jak najpóźniej, lepiej jeszcze jak nigdy.

—*Nowa-Polska* zwraca uwagę, że przed komisją izby deputowanych francuzkich, rozpoznając położenie emigracji polskiej, składali objaśnienia dwaj najszaleńsi jej nieprzyjaciele: Adam książę Czartoryski, który był i jest za rozproszeniem emigracji polskiej, i od której odebrał polityczne wyklęcie; i Ludwik hrabia Plater, który podpisał prośby o zmniejszenie posilków emigrantom polskim. Niebyłeto prawdziwy pocałunek Judasza?...

—J. B. Ostrowski zawiodł moje oczekiwanie, mówił X, po tylu latach odpoczynku, wytchnienia, miałem prawo spodziewać się czegoś lepszego. Zapewnie, rzekł Y, przynajmniej że potrzeba, że napróżno czasu tego niestracił, bo kiedy *Młoda-Polska* suszyła mózgownicę nad odkryciem, że demokraci pochodzą od diabła, Ostrowski wyszpiewował, że z królem pruskim są w znowie.

—*Nowa-Polska* nazywa Tow. Dem. Polskie księżycem, który świeci blaskiem pożyczanym od słońca. Pytanie: kto jest tym słońcem?.. Odpowiedź: niewiadomo, ale pewnie nie *Nowa-Polska*, bo przez parę lat była w pełnym zaćmieniu.

—*Młoda-Polska* niespodziewa się, żeby przy obecnym usposobieniu kraju i emigracji, zmartwychwstałemu *Pszonce* dobrze powodzić się mogło, bo zwykle, kiedy złośliwy triumfuje, przeciwnik jej cierpi, a teraz właśnie *Młodej-Polsce* dobrze się powodzi.

—W liście z *Havre* do *Pszonki* pisany znajdujemy następujące wyrazy: «Zapomniałeś obywatelu o nas biedakach w *Harwrze*, bo oto *Młoda-Polska* donosi, że już kilka numerów twoich pamiętników po świecie biega, a my tu aniśmy jednego nieoglądali jeszcze. Niewiemy co tam piszesz, ani z pod jakiej jesteś chorągwi, ale z artykułu, który *Młoda-Polska* o tobie umieściła, jesteśmy pełni przekonania, żeś godzien i miłości, i ciekawości naszej. Przysyłajże nam twoje pamiętniki, i licz nas w rzędzie najszczerzych i dozgonnych przyjaciół twoich.»

—Otóż wracają świetne czasy jezuickie, czasy, kiedy ich kolegija brzmiały szumnymi dyalogi. Dziś, usadowiwszy się pod rządem austriackim, w Tarnopolu, swojej stolicy, wyprawiają trajedyje przez swoich pisane po francuzku; młodzież szkolna je grywa, a widzami są urzędnicy cesarscy i różne prawowierne owieczki. Treść tych trajedyj bywa zawsze bardzo moralna i odpowiednia duchowi czasu. W jednej z nich, pod tytułem *Maurycy*, Achilles rotmistrz legii zbuntowanej straca z tronu Maurycego cesarza i pakuje razem z synami do więzienia, a z zięciem i szwagrem cesarskim robi układy o koronę. Następnie Achilles zostaje zdradzony, Maurycy powraca na tron i buntownika najwzajem wsadza do ciupy, gdzie go straszne trapią zgryzoty, nawet samo niebo daje mu uczuć wielkość jego zbrodni za targnięcie się przeciwko monarsze. Łatwo sobie wyobrazić jak biedny Achilles musi stękać, szarpać sobie włosy, drzeć odzienie, nekany zgryzotami sumienia. Jezuici niezgo nieszczęśliwi do oddania całej okropności jego cierpień, a prawowierni widzowie poklaskiwali: ach to sliyczny przykład dla naszej młodzieży, co dziś szalona rzuca się na drogę zguby, i marzy tylko o swojej ojczyźnie i niepodległości. Dzięki wam ojcowie Jezuici! zachowacie nam synów od zgorznięcia.

—W Tarnopolskiem, w domu pewnej szlachcianki, była wielka komisja, z powodu, że trzy torty upiec i wszystkie trzy razem na stole postawić kazala. Aresztowano szlachciankę, torty zaś jako *corpus delicti* odstawiono do Lwowa. Dla czego?... Bo to było podobno dnia trzeciego maja.

—Donieśliśmy, że magnatki lwowskie bardzo się troszczyły o zdrowie młodego *Kriega*; teraz dowiadujemy się, że przed miesiącem rozrzucono po Lwowie karykaturę, przedstawiającą owego chorego na *chaise persée*, gdy tymczasem dostojne panie, bardzo podobnie w rysunku oddane, z troskliwością zaglądają do *pot de chambre*.

—Piszą z Krakowa, że kiedy Haller, prezes Senatu krakow-

skiego, z urzędu oddalonym został, radość w mieście tak była wielka, jak przed laty po śmierci krakowskiego burmistrza Combra. Cóż-to będzie, gdy Krakowianie zaczną *combrzyć* Hallerów swoich?...

—Jeszcze żaden senat nieodznaczył się tyłu brudami, co dzisiejszy krakowski, mówił ktoś na pewnym zgromadzeniu: —Bo też do żadnego jeszcze z trzech naraz najbrudniejszych mocarstw na ziemi nieznoszono śmieci, odpowiedziano. I prawda!... Miał np. senat warszawski swego Krasieńskiego, ale miał i Bielińskiego także. Dzisiejszy senat krakowski tak się dobrał, że w nim nawet Krasieński nie dostałby krzesła — dla zbytnej cnoty.

—We wszystkich prowincjach zabranej Polski zakładają a zakładają fabryki cukru; ta cukromanija pochodzi z wielkiej ilości *goryczy*, jaką rządy przywłaszczycieli zasialy po całym kraju...

—W tym roku wino węgierskie zupełnie zaczyna jak szampańskie musować, a nawet wysadza korki, co się tak cesarzowi austriackiemu niepodobało, że aż z tego powodu okazał swoje monarsze nieukontentowanie.

—Tegoroczny sejm węgierski przez parę posiedzeń radził, czy wypada oddać pod sąd *stół królewski* czyli sąd najwyższy (tabula regia), który dwóch obywateli skazał Weszeliniego i Koszuta na trzy lata więzienia, za publiczne powstawanie przeciw nadużyciom rządu austriackiego. Gazeta Frankfurtska, czyniąc to doniesienie, dziwi się, że reprezentanci narodu, tak obfitującego w rozmaite produkty, zamiast radzić o zaprowadzeniu żelaznych kolei lub urządzeniu kanałów, dla ułatwienia komunikacji z innymi krajami Europy, tracą czas na rozprawianiu o *takię bagatelę*.

—Cesarz austriacki a król Galicyjsko-Lodomeryjski, który rozpoczął swe panowanie wielkimi krokami reformy, a to zaprowadziwszy w całej armii pantalone odpowiednie duchowi czasu, i osobnym dekretem nadwornym zarządziwszy, iż przy posuwaniu na stopnie wyższe urzędników, wszelkie kosmatości objawiające się w kształcie wąsów i bród szkodzić do awansu niemoga, który nakoniec Zaliwskiego z jego bandą, za chęć buntowania chłopstwa, na Kufstein miłościwie skazać raczył, niewiadomo przez jaką mylną rachubę obłożył produkcję gorzałki ogromnym podatkiem. Szlachta bowiem galicyjska utraciwszy imię narodowe, swobody, byt polityczny, jedyną swoją pociechę i nadzieję czerpała w *kociołku gorzelnianym*. Otóż podobnie, jak w retorcie chemicznej wszelkie ciało w parę, tak w nim patryotyzm, poświęcenie się, honor narodowy, i inne tegoż rodzaju nieujęte części, ulatniały się dla czystej chęci wyciągnięcia groszyka; bo też i potrzeby niemałe! Skądże wzięć na diabełka, skąd na szale, na mody, na powozy, aby modnie wystąpić na pokojach *Kriega* i *Lange-naua*, lub na sejmie postulatowym, ba, nawet i na najwyższe szczęście zakupienia sobie tytułu hrabiego?! Niedziw więc, że taka klęska wycisnęła naszej szlachcie... Coż? może oburzenie? Kto słyszał! byliby to krok rewolucyjny, jakiego i przy upadku Polski niebyło!... Coż przecie? Oto najświatlejsze galicyjskie głowy, przeniknione dyplomacją swojego mistrza na emigracji, trzema poszły drogami: jedni zaczęli pisać pokorne remonstracje do podnóżka tronu; drudzy utworzyli rękę z dozorcami podatku, i okpiwają cesarza i siebie; a trzeci, najśmielsi, konspirują po cichu — zacierając więcej kadek i części niżeli prawo pozwala.

WSPOMNIENIA.

Do wolskich rogatek, żołnierz z 8^o pułku piechoty, przywłókł się z oderwaną paszczką, i położył się przed domem. Zbiegli się ludzie, otoczyli go i litować się nad jego raną poczęli. Z męską spokojnością rzekł żołnierz: Za fraszkę tę ranę mieć będziecie, jak zobaczycie, co tam przy Woli tego świniego ścierwa (Moskalów) leży.

—W Płocku, wojsko oszukane, kiedy musiało powrócić z drugiego brzegu Wisły, zaczęło szemrać na Rybińskiego. Oficerowie rozmaitych pułków otoczyli Dębińskiego na rynku miasta, i zakłinali go, aby objął dowództwo i prowadził ich na Moskali: « Niechcę ja być wodzem, odpowiedział Dębiński, obranym przez podporuczników, i pojechał dalej. »

— Po bitwie Ostrołęckiej krążyła po Warszawie taka rycina: Skrzynecki stoi, i jedną ręką wysypuje z rogu obfitości krzyże, szarfy adjutantkie, cisną się do tego jeden przed drugim wymuskani panicze — jego adjutanci; — z drugiej strony stoją żołnierze i podoficerowie okryci bliznami, a Skrzynecki odpycha ich drugą ręką.

— Jezuita z Meternichem przyrzekali polskim panom w 1831 roku pomoc w pieniądzech, jeśliby ci potrafili ugruntować w Polsce zasady absolutyzmu; odmówili pomocy, postrzegłszy niepodobiestwo dokonania tego zamiaru. Czy też niepowtórzonej tej obietnicy naszym katolikom emigracyjnym?...

— Pewien młody Galicyanin, który w czasie powstania zaciągnął się był na oficera do legii nadwiślańskiej, tak w pewnym gronie filozofował nad ostatnią rewolucją naszą: — Że my Galicyanie złączyli się z Polakami, to nie dziw, bo Austriak buntuje przeciw nam chłopów, ale że Żmudź, Litwa Wołyń i Ukraina powstały, to, na honor, krok do nieusprawiedliwienia. Wszakże tam wolno i sprzedać, i przegrać w karty, i zrabować, i zabić chłama!

— Pewna dama, dosyć dowcipna, jak zobaczymy, lecz niedość skrypatna w wyborze swoich wizyt ile na dobrą Polkę przystało, znajdowała się pewnego wieczora na balu u haniebniej sławy austriackiego generała Langenaua. Znana jest światu nieokrzesaność austriackich wojskowych, mianowicie z płcią piękną; otóż ów generał, postrzegłszy na piersiach u wspomnianej damy szpilkę z białym orzelkiem polskim, przybliżył się, dotknął palcem, i rzekł (po francuzku): — Cóż to za poczwarkę masz pani? — Poczwary zwykle bywają o dwóch głowach! odpowiedziała.

— Pan B. mówił do pana C. — Prawda, że szkaradne czasy, ale przecie, można się jeszcze ratować. Wódka nieplaci, zboże nieplaci, ale zaasekuruj w towarzystwie ogniowem twoje budynki, a potem morduj chłopów, niech cię podpalą.

— Leśniczy Ch. (w Galicyi), starzec 80 letni, konfederat barski, powiedział komisarzowi austriackiemu Schifnerowi, który go upominał, że daje przytułek emigrantom polskim, w brew mandatom cesarskim: — Z nieszezśliwym zawsze podzielię kawał chleba, i drzwim mu moich niezamknę, ani się was boję za to, bo mandaty boskie dawniejsze jak mandaty cesarskie.

— Chłopicki zawsze mieszka w Krakowie, i zawsze widzieć go tylko można w towarzystwie ludzi bez czci i wiary. Raz otoczony taką czeredą przypatrywał się zaciągowi straży przed sukiennicami. Pewien szlachcic ze wsi przybyły postrzegł go. — Wszakże to Chłopicki, proszę waszmości, zagadnie stojącego obok rzeźnika. — Ać on! dyktator! odrzeknie zapytany. — A oweż obok niego wymuskane chłopaki, was zawiesisty! pewnie jego adjutanci polowi?!... — A skąd zaś! To Mole, tlukobruki, żaden z nich prochu niewąchał. — A tenże grubas o krótkim karku, mina bycza! pewnie jego szef sztabu?!... — Ale skąd znowu?!... To Wężyk, pieczeniarsz!... niemyśli, tylko o brzuchu. — No, proszę wasci, że też to zawsze, jak jaka rzecz zgałanieje, to się jęj zaraz i mole i gadziny imają.

PRZESTRZEŻENIE BRATERSKIE.

Przyjaciel ludu powinien być zarazem przyjacielem prawdy. Tymczasem nasz *Leszniąńczyk* zaczyna coś nie żartem zajmować czytelników prawieniem oklepanych klechd babińskich. Jeżeli to dla rozmaitości, to dobrze; ale już czas odmienić przedmiot, albo wrócić do dawnego, jeżeli na nowym zbywa.

Cześć Urzędowa.

PRZYPOMNIENIE ROZPORZĄDZENIA.

W IMIENIU.

44.

it.d. it.d. it.d.

MY

POLICMAJSTER BABIŃSKI,

Wszem wobec i każdemu, komu o tém wiedzieć należy, czynimy wiadomo, co następuje:

Zważywszy, że od czasu jakiegoś po rozmaitych pismach babińskich, ba, nawet w *Młodej-Polsce*, dają się napotykać wyrażenia sprzeczne zasadom, jakie J. K. Mość, najmiłościwszy nasz pan i samodziernca najlaskawiej narodowi swojemu do wyznawania podał, uznaliśmy za stosowne i dla dobra poddanych J. K. Mości nader korzystne, przypomnieć najmiłościwszemu J. K. Mości z roku 1833 rozporządzenie, w treści: że każdy, kto by się na przyszłość podobnego nadużycia dopuścił, straci za pierwszą razą wszelkie babińskie wsparcie, a za drugą za granice babińskiego państwa wywiezionym zostanie; ku czemu wysokie a jednak niepodważane stosunki J. K. Mości potrzebnego dostarczają ułatwienia.

(Podpisy jak zwykle).

LITERATURA.

Trzy struny, poezye Seweryna Goszczyńskiego, oddział I^{sz} w Strazburgu, 1839 roku.

Pod tym napisem czytająca publiczność otrzymuje nowe plody liryczne, tego wieszca, znanego już ze śpiewu i czynu. Zbiór ten, podzielony jest na trzy oddziały, w miarę epok, jakie dusza przedrewolucyjnego konspiratora, rewolucyjnego żołnierza, a w końcu tułacza na własnej ziemi, z wiarą w sercu, a prawdami w ustach, przeżyła. Sato, że tak powiem, uczucia, wrażenia, nadzieje, sny, cierpienia, nie entuzjasty, nie skeptyka lub sentymentalisty, co przesycony rzeczywistym światem, podróżuje po kraju fantazji, i kłamie wymarzonemi cierpieniami, lub swoim indywidualizmem memilosiernie zatrudnia czytelnika — tego nieznajdziesz w Goszczyńskim: rzucany niezmysłonemi wypadki, wśród konspiracyjnych noc, wśród niebezpieczeństw pogoni, wśród szczęku oręża pisał... Myśl jego wyrobiła wszystkie niemal kwestye polityczne, przeniknęła się miłością ludową Polski — ale duch poetyczny odlał to w sobie właściwej formie, a tém samém tak nową, tak nieprzypadającą do miary ze znanymi, że owi *ultra*, co by radzi w nim widzieć, potępiwszy już Mickiewicza (!) wieszca pojęć masowych w przecieciu, wieszca, co bierze natchnienie z gazety za najwyższy punkt swego Parnasu, nie mało się zawiodą... Bo zaiste, coż oplakaniego byłoby nad ową literaturę, któraby powiedziała sobie: będę zwierciadłem życia narodowego, a nigdy czémś więcej! Kto idzie w równi z codziennym pojęciem mas, ten nigdy ich niepodniesie. Wieszcz rzuca w świat myśl wielką, często pod mglistą szatą tajemniczości, często w tak olbrzymim kształcie, że aż potrzeba tysiąca innych pisarków, aby po kawałku zdarli ową zasłonę, skarłowacili olbrzymia, i za codzienną strawę dali ludowi....

ODPRAWA POSŁA, przez Leona Zienkowicza. Wydanie drugie, pomnożone przypisami, w Strazburgu, 1839 roku.

Przed parą laty, zjawiły się w kraju dwie broszurki: *Poselstwo z ziemi ucisku* i *Odprawa Posła*; cheiwie je czytano i porównywano a taki był głos w powszechności: « fałszywy to posel, co tak złe myśli nasze tłumaczy, a cześć niech będzie tułaczowi, co mu dał dobrą odprawę, co pojął i swoje i nasze stanowisko. » Zaiste niemożna było bez odpowiedzi zostawić ty-

le fałszów w *Poselstwie*, i dobitniej a szczerzej odpowiedzieć na nie w *Odprawie*; bo i ta prostota ewangeliczna, w którą autor *Poselstwa* starał się ubrać spruchniałe swoje pomysły, jest prosta, więc do serc trafiająca, kiedy w duchu ludu, nie zaś możnych przemawia. Powtórne wydanie *Odprawy Posta*, pomnożone jest wieloma uwagami rozwijającemi główne myśli tekstu, z których parę przytaczamy wyjątków.

Text: «A oświecając się i nauczając się społem, przestrzegajmy nade wszystko fałszywych proroków i nauczycieli.»

«Bo oto wykonało się, jako powiedziano jest, że bracia braciom pod postacią chleba rozdawali truciznę.»

Objaśnienie.

Niebyło dotąd czasu, w którymby tak wiele pism pojawiło się za i przeciw wolności ludu polskiego, jak teraz; dlatego więc teraz, bardziej niżeli kiedykolwiek, ludzie sumienni baczyć i przestrzegać powinni, ażeby bracia braciom pod postacią chleba nierozdawali trucizny. Tak np. czasopisy emigracyjne, z dawniejszych: *Kraj i Emigracja*, *Rocznik*, *Wiadomości*, *Le Polonais*, z obecnie wychodzących: *Kronika i Młoda-Polska*, już tęp samem, że są przez tułaczów i na tułactwie pisane, że przeciw naieźdcom, przeciw zewnętrznym wrogom Polski gadają, że o miłości ojczyzny, o wierze, o narodowości, słodkich słówek nieskapia, zdają się dawać rekłamię czystych, prawych zamiarów, a tym czasem ileż tam brudów, niesprawiedliwości, szkaradzeństw, ile egoizmu, osobistego interesu, przechwałek, zdrad, szalbierstw, podstępów, a wszystko tak starannie pokostem publicznego dobra powleczone, że pocziwy a łatwowierny ani się spostrzeże, że mu zamiast chleba podstawiano truciznę. Trzeba więc koniecznie wzajemnego przestrzegania się, trzeba odsłonięcia, odkrycia, czyli przedstawienia wszystkiego tak jak jest, a nie zaś jak się z pozoru, z powierzchowności, z powłoki wydawać może. Przyszła zaiste czas tak ciężki na Polskę, że lepij Polakowi przystępować do czytania dzieł polskich z uprzedzeniem, iż złą w sobie mieścić mogą naukę, aniżeli się im z zupełną powierzyć ufnością. Prawią ci o narodowości, o wierze, o postępie, o wolności i równości, oszukują często brzmieniem wyrazów, bo rozpatrz się tylko w słowach, alieści postrzeżesz, że *narodowością* u nich są dawne śmieszności i nadużycia szlachty, a *wiarą* bicie czołem przed przywileistami, a *postępem* zwrot przeszłości szlacheckiej, a *wolnością* i *równością* ludu polskiego, niedzne, nie nieznaczące ulepszenie, jakoby, jak słusznie powiedziano, ulepszenie owieć i koni, ku korzyści ich właściciela.

Text: «Droga prosta i pewna, a oto jedni na prawo, a drudzy na lewo, w błędne manowce i w kręte zapuszczają się ścieżki, jak gdyby wiary niemieli, że droga najprostsza, zarazem i najbliższa jest.

Objaśnienie.

Ludzie w zły i w dobrej myśli, dla złych i dla dobrych celów szukając sposobów i środków, nie mogą być wszyscy na jednej drodze, i jest to tak proste następstwo, jak jest prosta jego przyczyna, czyli myśl celów. Co się rzekło o ludziach w ogólności, stosuje się w szczególności do tułactwa polskiego. Tułacze polscy stojąc na ziemi francuskiej znaleźli się w położeniu owego człowieka, który w głębi ogromnej a nieznanej sobie zablakał się puszczy, radby z niej wyrwać, radby wrócić do domu, do swoich, rzuca się więc na różne strony, na różne ścieżki, manowce, rzadzinny, lecz biada jemu, jeżeli błędnem uwidzie się światło, albo napotka zbójców i za przewodników ich weźmie. Zblakaliśmy się zaiste w puszczy, i w nieznanej, w obec nam bardzo. Błakając się po niej, już nie od wczora niestety! poznaliśmy zaprawdę kilka ostępów, ale wyrwać niemożemy jeszcze, bo znaleźli się ludzie, którzy jak światła zwoźnicze balamucą nas, i znaleźli się zbójcy, których ci i owi z nas za przewodników sobie obrali. Światła zwoźnicze tułactwa polskiego, sąto pojęte a fałszywe nauki. Zbójcy zaś tułactwa polskiego są dwójakiego rodzaju: zbójcy czyli rozbójnicy otwarci, którzy swoje ofiary po staremu, wprost do celu, do zguby prowadzą, lub na podobnych sobie rozbójników przyjmują, a takimi są wszyscy arystokraci, i Jezuici, papiści czyli quasi katolicy tułactwa, i zbójcy—diabły czyli szatany, którzy niby pięknym, szerokim, bitym prowadzą cię gościńcem, i zdaje ci się, że suchą nogą po suchej stąpasz ziemi, a ty grzęzniesz w błocie po uszy, a takimi są nowatorowie, którzy wszystkim wszystko niby dając, nie rzeczywiście niedają, i którzy tobie człowiekowi ziemskiemu, chcą wmówić, żeś duch, anioł, sylf,

strzygoń, a ziemia, po której chodzisz, to księżyc, niebiosy, elizyeum, olimp. O pierwszych niema co mówić, zna ich każdy, strzeże się ich, a gdy go przypadkiem napadną, walczy z nimi, lub się z nimi zgodziwszy na rozbójnika przystaje; drudzy są ludźmi chwilowości, zwolennikami lada nowości, lada mody, wietrznikami, motylami tułactwa, a o których Rej mówi: «Aby dziesięć krajów na dzień wymyślił, tedy każdy chwalał. Będzie suknia z długim kołnierzem aż do pasa, to powiadają, iż tak czystie (pięknie), chłop ozdobny, od wiatru się zasłoni, kiedy trzeba, i kijem we grzbiet nie tak bardzo puknie. Będzie zasie druga, co kołnierza niebędzie u niej, a przedsię też tak czystie, wolno mi się obejrzeć, kiedy chce, i jako chce, a przedsię mi kołnierza w szyję niekasa. Będzie druga z długimi rekawami, a czasem i ze trzemi, też tak powiadają czystie, chłop znaczny na koniu kiedy rekawy około niego trzpiatają. Ja wierzę, by kto pozłociwszy rogi na łeb włożył, tedy powiedzą, iż i tak czystie, bo wszystko czystie, by się jedno to dziś pojawiło, czego wczora niewidzieli.»

PIĘTNIKI SOPLICY, Paryż, 1839, (wydane bezimiennie). Jest to pięć powieści z czasów Konfederacji Barskiej. Z nadzwyczajnej prostoty stylu, z wielkiej znajomości czasu i charakterów, ze zgłębienia ducha ogrzewającego ową epokę, wnoszą wypadki, że są płodem niepospolitego pisarza. Dodajmy to jeszcze, że jeżeli w pamiętnikach Paska zachwyciła nas prawda wieku i humoryzm rubaszny, tedy w powieściach Soplisy do tych samych zalet łączy się artystowskie wykończenie. Piśma czasowe zapowiedziały drugi tomik, który, aby rzucił cokolwiek swej rosy i woni na suchość codziennych polemiki, i przypomniał, że obok tylu socyalnych kwestyj, literatura ojczyzna także jest kwestyą, przez którą może najwięcej dziś żyjemy. Jako próbkę stylu dziełka tego dajemy wyjątek z powieści, pod tytułem *Kazanie księdza Marka*, w którym ten kaznodzieja tak prawi o sposobie, jak panowie kochają ojczyznę.

«Marku! powiedział mi anioł, że się dzieje z ojczyzną twoją. Nierząd ją zgubi. Wszyscy pragną rządu, a żaden z pocziwych rządzić niechce. Król Sas, którego wszyscy kochają, a nikt mu niepomaga, lada dzień zamieni koronę doczesną za wieczną, i będzie to, co jest; rząd leży na ziemi, a nikt się schylić niechce, aby go podjął. Pod różnemi postaciami do wszystkich waszych panów udawałem się, zawsze ta sama odpowiedź: przebrzydłe domatorstwo, nałogowe lenistwo. Byłem u Radziwiłła wojewody wileńskiego; mówiłem, błagałem; jedź do Warszawy! zajmij się rządem! cała Litwa twoja! ratuj ojczyznę!... Aż płakał, tak się rozczulił: ja z torbą pójde, powiedział, a niech ojczyzna będzie cała.—Ale tu nieidzie o ofiarę z majątku lub narażania życia; siedź w Warszawie i zajmuj się rządem. Oto wiesz com wycisnął nakoniec? — *Panie kochanku*, ja będę w Warszawie rządził, a mnie p. Michał Rejtan w Nalibokach wszystkie moje niedzwiedzie wybiję.—Udałem się do wojewody kijowskiego. Pan obszernych włości, i coby je chętnie dla ojczyzny poświęcił; ale *ucziwszy uszy*, jakżeto siedzieć w Warszawie, kiedyto człowiek przywykł po kilka dni ciągle z panem mienikiem Ciesielskim pić w Szortynie, kiedy pani wojewodzina myśli, że mąż solwarki objędzą?...—Byłem u marszałka Mniszcha. Niemożel! kocha ojczyznę, ale *świnia bura*, rządząc niemożna mieć processów, a jakże żyć bez codziennych konferencyj z jurystami?...—A pan Wielopolski krajczy koronny kocha ojczyznę, ale *bała bała*, jak zasiadę się w Warszawie, kto będzie dyspozytorów co sessy do roboty napędzał?... A pan Krakowski? — *Moja panno*, niechno się obmuruję w Białym stoku, to i o ojczyźnie pomyślę.—A Książę Sangusko starosta czerkaski? — *Mospanie*, ja będę siedział w Warszawie, a moje stado na Sławucie sparszywieje.»

SKARBIEC HISTORII POLSKIEJ, przez Karola Sienkiewicza. Tom I. w Paryżu; MDCCCXXXIX.

Kto z nas nieczytał wybornego początku w *Panu Podstolim* Krasickiego, gdzie podróżny, zdziwiony wzorowemi budynkami i gospodarstwem wioski do której przybywa, na wszystkie zapytania: kto ten dom postawił? kto ogród zasadził? kto groble? kto młyn? odbiera odpowiedź: pan podstoli, pan podstoli, i jeszcze pan podstoli. Owoż tego rodzaju *cicerone* i dziś się znalazł. Oprawdza on podróżnych po *Skarbcu* narodowej przeszłości, a musi być dobry szlachcic, bo ma i piękno herbowe na samem czole; i nad każdym przedmiotem snąć zastanawiał się głęboko, bo o co go bądź zapytasz, on na wszystko odpowiada: książę Czartoryski! Gdyby nie książę Czartoryski! Oby książę Czartoryski! Tylko książę Czartoryski! Co mu tak weszło w nałóg, że gdy pewien podróżny tęp kiryeleyzon znudzony zapytał na prędce: A któż ten świat stworzył? — Książę Adam Czartoryski! odpowiedział pan Karol z Kalinówki.